

THRILLERY Z PATAGONII

ZŁODZIEJE Z ENTREVIENTOS CRISTIAN PERFUMO



ZŁODZIEJE Z ENTREVIENTOS

THRILLERY Z PATAGONII

ZŁODZIEJE Z ENTREVIENTOS CRISTIAN PERFUMO

autornia

[Kup książkę](#)

Original work copyright:

©Cristian Perfumo

Tytuł oryginału:

Los ladrones de Entrevientos

Tłumaczenie: Piotr Jarco

Projekt okładki: Joanna Jarco

Redakcja i korekta: Barbara Lewandowska, Natalia Grzeszczak

Skład i łamanie: Joanna Jarco

ISBN: 978-83-972980-3-3 (druk)

ISBN: 978-83-972980-4-0 (EPUB)

ISBN: 978-83-972980-5-7 (MOBI)

ISBN: 978-83-972980-6-4 (PDF)

autornia

www.autornia.com

e-mail: hola@autornia.com

Copyright ©2024 by Studio Link Piotr Jarco

Polska, 2025

[Kup książkę](#)

*Dla mojej siostry Mariany.
Szalenie Cię podziwiam.*

*„Ja, który – jak już wspomniałem – wielokrotnie ocierałem się
o śmierć, właśnie tam dowiedziałem się o kopalniach złota.
W tym miejscu pojąłem prawdziwą jego potęgę – ten, kto je posiada,
władza całym światem, a jego władza jest absolutna
– sięga nawet bram Raju”.*

Krzysztof Kolumb

PROLOG

„Tego nie było w planie” – przeszło jej przez myśl.

Żaden scenariusz nie zakładał takiego obrotu spraw. Plan nie przewidywał, ani że ten mężczyzna będzie siedział u jej stóp z materiałowym workiem na głowie, ani że będzie musiała przyłożyć mu do czoła pistolet i odliczać na głos.

– Dwadzieścia. Dziewiętnaście. Osiemnaście...

Minerwa wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić. W jej pamięci odżyły słowa Pezzana sprzed piętnastu lat.

„Każdy ma szczęście przynajmniej dwa razy w życiu. Nie martw się, została ci jeszcze jedna szansa”.

Los po raz pierwszy uśmiechnął się do niej podczas strzelaniny w sali bilardowej w Buenos Aires, gdy miała zaledwie dwadzieścia jeden lat. Teraz, ściskając pistolet w dłoni, liczyła na drugi szczęśliwy traf. Postawiła wszystko na jedną kartę – kradzież pięciu ton złota i srebra z jednej z najbardziej odległych kopalń świata.

Zignorowała uporczywy głos w głowie szepczący, że szczęście nie działa na zawołanie – to nie my decydujemy, kiedy nas nawiedzi i opuści.

Zerknęła na swoich towarzyszy. Kontynuowali realizację planu, nie zważając na to, jak bardzo zmieniły się okoliczności.

– Proszę, wysłuchaj mnie – błagał zakapturzony mężczyzna u jej stóp.

Przymknęła powieki, uświadamiając sobie, że nie ma innego wyjścia – musi złamać własną zasadę o napadzie bez przelewu krwi. Te same słowa, które wygłosiła do reszty bandy, gdy skok był jedynie odległym pomysłem i stertą map porozrzucanych przed kominkiem, teraz obracały się przeciwko niej.

– Twój czas się kończy – wycedziła beznamiętnie, kontynuując odliczanie – Czternaście. Trzynaście...

– Dlaczego mi to robisz? Jestem tylko zwykłym pracownikiem. Nikomu nie wyrządziłem krzywdy!

Te słowa spadły na nią niczym grom z jasnego nieba. „Przeklęty sukinsyn” – pomyślała. Jej lewa ręka zacisnęła się mimowolnie.

CZĘŚĆ I

GENESIS

ROZDZIAŁ 1

Buenos Aires.

Rok i cztery miesiące wcześniej.

Noelia wirowała w rytmie tanga „Tiempos viejos” w objęciach osiemdziesięcioletniego mężczyzny. Czuła smutek na myśl o zbliżającym się końcu zabawy. Tego wieczoru milonga była idealna – w lokalu nie było ani zbyt tłoczno, co krępowałoby swobodę ruchów, ani zbyt pusto, co zmuszałoby do ciągłego tańczenia z tymi samymi partnerami i prowadziło do niezręcznych sytuacji.

Po ostatnim akordzie pożegnała partnera i podeszła do baru. Chociaż za nic w świecie nie wróciłaby na stałe do Buenos Aires, perspektywa conocnego tanga wydawała się niezwykle kusząca.

Zamówiła ostatnie piwo. Wiedziała, że jeśli chce się jutro stawić na kursie w przyzwoitej formie, powinna wcześniej wrócić do domu.

Odwróciła się w stronę parkietu i przymknęła oczy, delektując się pierwszym łykiem zimnego trunku. Chłód początku jesieni zmuszał do cieplejszego ubioru, ale tutaj, na milondze, zawsze było gorąco.

Gdy uniosła powieki, zamarła. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Tańczył z elegancką damą, której długie nogi w kabaretkach poruszały się z niezwykłą gracją. Czy to naprawdę był on? Wrócił do Argentyny? A może to tylko złudzenie w półmroku sali? W końcu świat tanga był pełen sześćdziesięciolatek z dużymi worami pod oczami i przerzedzonymi siwymi włosami zaczesanymi do tyłu na żel.

Z uwagą śledziła ruchy pary na parkiecie. Po eleganckim odbiciu kobieta popisała się *ocho cortado*, a on, uśmiechając się, szepnął jej kilka słów do ucha. W tym momencie Noelia nie miała już wątpliwości. Ten uśmiech był niepowtarzalny.

Mario Pezzano był w Buenos Aires.

Podczas gdy partnerka pogrążona w transie tanga patrzyła nieobecny wzrokiem, jego spojrzenie niespokojnie przeskakiwało od wejścia do obcisłej sukienki młodej tancerki, od chłopaka odpowiedzialnego za muzykę do wyjścia ewakuacyjnego.

Noelia pomyślała, że to normalne. Człowiek pokroju Pezzana nie mógł sobie pozwolić na chwilę nieuwagi. A może i mógł, ale pozostały mu zawodowe nawyki.

Gdy Goyeneche przestał śpiewać „Sur”, Pezzano pożegnał się z partnerką i spojrzał prosto na Noelię. Skinął jej głową, jakby widzieli się zaledwie wczoraj, i ruszył w jej stronę.

– Jak to możliwe, że jesteś piękniejsza niż piętnaście lat temu? – powiedział, opierając się o bar.

– Przesadzasz, Mario – odpowiedziała i objęła go serdecznie. – Jak mogę być piękniejsza niż w wieku dwudziestu jeden lat?

– Mówię poważnie, Minerwo.

Na dźwięk dawnego przezwiska Noelia poczuła, jak jej ciało sztywnieje. Od ponad dziesięciu lat nikt nie zwrócił się do niej w ten sposób.

– Po pierwsze, to niemożliwe, że jestem teraz piękniejsza. A po drugie, nie minęło jeszcze piętnaście lat.

– Naprawdę? Przecież od 2005 roku...

– No dobra, prawie czternaście.

– Mieszkasz w Buenos Aires?

– Skądże, dawno temu wróciłam do Patagonii. Przyjechałam tu na kilka dni, na szkolenie – powiedziała, spoglądając na zegarek.

Pezzano uśmiechnął się drwiąco i zamówił whisky.

– Co się stało z twoim akcentem? Kiedyś bez przerwy wtrącałaś słowa po galicyjsku.

– Po katalońsku – poprawiła go.

– No właśnie.

– Kiedy mnie poznałeś, minęło osiem lat od mojego wyjazdu z Barcelony. Teraz jestem w Argentynie ponad połowę swojego życia. Jestem bardziej tango niż sardana, Mario. – Ostatnie słowa wypowiedziała

z tak przesadnym akcentem z Buenos Aires, że „tango” zabrzmiało jak „targo” – zupełnie jak u Gardela.

– Czego dotyczy kurs?

– Bezpieczeństwo informatyczne w środowiskach zdalnych. Przysłała mnie tu firma, w której pracuję.

Barman postawił szklankę whisky na barze.

– „Firma, w której pracuję” – powtórzył Pezzano, biorąc łyk trunku. – Wyobrażałem sobie, że inaczej zarabiasz na życie.

– Teraz jestem wzorową obywatelką. Nawet płacę podatki.

– Naprawdę? Od kiedy?

– Od dnia, w którym się rozstaliśmy.

Pezzano uniósł brwi, nie kryjąc zaskoczenia.

– A ty, Mario, czym się zajmujesz?

– Żegluję. Pamiętasz Maese?

– Jasne. Nie sposób zapomnieć imprez, które na niej organizowałeś.

– Wciąż jest moją najlepszą przyjaciółką. Na początku 2006 roku rzuciłem wszystko i wyruszyłem w rejs dookoła świata. Oplłynąłem Karaiby, dotarłem do Europy...

– Na początku 2006 roku – powtórzyła Noelia i skinęła na barmana, by przyniósł jej kolejne piwo.

– Tak.

Fakty układały się w logiczną całość. W styczniu tamtego roku banda złodziei splądrowała blisko sto pięćdziesiąt skrytek w Banco Río w Acasuso, zgarniając łup wart od ośmiu do sześćdziesięciu milionów dolarów, zależnie od źródła szacunków. Schwymano i osądzono wszystkich członków gangu oprócz jednego, którego ani tożsamości, ani miejsca pobytu nigdy nie ustalono.

– Czy to prawda, co mówią? – zapytała kobieta.

– Możliwe.

Napad okazał się tak spektakularny i błyskotliwy, że media okrzyknęły go „Skokiem stulecia”. Do uszu Noelii dotarły plotki o planowanej ekranizacji.

– Nie boisz się wracać do Argentyny? Sprawa jeszcze się nie przedawniła, prawda?

– Nie, ale proces już się odbył, a wszyscy odsiedzieli swoje. Ostatniego wypuścili trzy lata temu – odpowiedział Pezzano, unosząc szklankę whisky. – Za nasze ponowne spotkanie, Minerwo.

– Za nasze ponowne spotkanie – powtórzyła, trącając swoim kuflem jego szklankę.

– W jakiej branży działa firma, w której pracujesz?

– To kopalnia złota i srebra – powiedziała, muskając bladozłotą bransoletkę na lewym nadgarstku.

Pezzano parsknął śmiechem. Noelia starała się zachować powagę, ale i jej w końcu udzielił się humor sytuacji.

– Ty? W kopalni złota? Kto był na tyle szalony, że cię zatrudnił?

– Już ci mówiłam, nie jestem tą samą osobą co kiedyś. Po tym, co się stało, naprawdę się przestraszyłam.

– Rozumiem, w końcu przepadłaś jak kamień w wodę.

– Wróciłam do nauki, skończyłam studia i zaczęłam pracować.

– Co za szkoda...

– Z tego, co widzę, ty nie zmieniłeś się ani trochę.

– Urodziłem się pokręcony i taki umrę.

– Czy nie wystarczyło ci to, co zgarnąłeś z Banco Río? – wyszeptała Noelia. – W wiadomościach mówili o dwudziestu milionach dolarów. Podzielone przez siedem, daje trzy miliony na głowę.

Pezzano wzruszył ramionami, wyraźnie rozbawiony.

– Nie wierz we wszystko, co mówią w wiadomościach.

Noelia pokręciła głowę z niedowierzaniem i upiła łyk piwa.

– Masz pojęcie, jak nudne jest samotne żeglowanie? Pierwsze lata to sama radość, fakt: piękne plaże, fascynujące kobiety, przyjaźnie z francuskimi turystami. Ale po dwukrotnym okrążeniu globu przychodzi czas, że znowu pragniesz akcji. A ja do niczego innego się nie nadaję.

Kobietę bardziej interesowały podróże Pezzana niż jego tęsknota za dawnym życiem. Zapytała go więc o miejsca, które odwiedził. Opowiedział jej, że cumował w ponad osiemdziesięciu krajach i przez ponad pół godziny snuł anegdoty godne spisania w książce. Nagle jednak zmienił temat.

– Nie zadam ci żadnych pytań, bo to nie wypada – powiedział – ale gdybyś, hipotetycznie, dysponowała jakimiś ciekawymi informacjami na temat tej kopalni złota, znam ludzi, którzy są gotowi sownie za nie zapłacić.

Noelia wybuchnęła śmiechem i spojrzała na zegarek.

– *Collons*, muszę iść, Mario. Jutro wcześnie wstaję.

– Jest i galicyjski! Teraz wierzę, że jesteś tą samą osobą.

– Kataloński.

Pezzano poprosił barmana o długopis i nakreślił coś na serwetce.

– Weź to. Napisz do mnie, Minerwo. Nie chcę, żebyśmy znowu rozstali się na tak długo.

– Dobrze – powiedziała, chowając papier.

Już miała go przytulić na pożegnanie, gdy on cofnął się i pokręcił głową.

– Nie myślisz chyba, że wyjdiesz bez zatańczenia tanga ze starym przyjacielem, prawda? – powiedział, unosząc dłoń.

I Noelia ją chwyciła. Chwyciła ją tak samo jak czternaście lat temu, kiedy nazywali ją Minerwą, a on wyciągnął do niej rękę, aby uratować jej życie.

ROZDZIAŁ 2

Buenos Aires.

Czternaście lat przed milongą.

Pierwsza operacja w świecie rzeczywistym niemal kosztowała Minerwę życie.

Kilka miesięcy po przeprowadzce z Rawson do Buenos Aires, gdzie podjęła studia, poznała Qwerty'ego. To właśnie on wprowadził ją w mroczny świat, w którym królowały luki w zabezpieczeniach, hasła i poufne dane.

Do tej pory jej krótka kariera przestępcza ograniczała się do kradzieży informacji przez Internet i sprzedaży zdobytych materiałów. Wszystko zmieniło się, gdy Qwerty, jedyny członek „Hackers _Portenios”, którego znała osobiście, otrzymał propozycję prawdziwej roboty.

Początkowo nie był nią zainteresowany. Propozycję złożył mu Mario Pezzano, doświadczony złodziej, którego Minerwa spotkała rok wcześniej. W jej oczach mężczyzna był profesjonalistą i legendą. Ta opinia oraz młodzieńcza chęć zawojowania świata skłoniły ją do nacisków na Qwerty'ego, aby przyjął ofertę.

Tego wieczoru Minerwa zapukała do drzwi salonu bilardowego na Avenida de Mayo. Przyszła tu z plecakiem przewieszonym przez ramię. Qwerty niósł identyczny.

Drzwi otworzył im mężczyzna o cerze bladej jak kość słoniowa. Wpuścił ich do ogromnej sali, w której stało co najmniej czterdzieści stołów do bilardu, poola i snookera. Dochodziła czwarta nad ranem, a jak twierdził Qwerty, miejsce miało być zamknięte od trzeciej. Nie było tam nikogo, z wyjątkiem czterech mężczyzn grających przy centralnym stole. Opustoszały lokal oraz dym papierosowy unoszący się w powietrzu wzbudziły w Minerwie złe przeczucia.

Mężczyzna, który otworzył im drzwi, skrył się za kontuarem i zaczął wycierać szklanki. Kobieta podążyła za Qwertym i oboje ruszyli pomiędzy stołami w kierunku graczy. Jednym z nich był Mario Pezzano. Pozostałych trzech nigdy wcześniej nie widziała.

W pewnym momencie najmłodszy sięgnął za siebie i wyjął pistolet. Nie celował w nich, ale serce Minerwy zamarło. Ani ona, ani Qwerty nie mieli przy sobie broni. Skąd niby mieliby ją wziąć?

– Przepraszam za brak zaufania, Federico – powiedział Pezzano, patrząc na nich swoimi podkrążonymi jak zawsze oczami. Jego głęboki głos odbił się echem w pustym salonie. Wykonał gest ręką i Federico schował broń. Minerwa nieśmiało wyjąkała, że nie ma żadnego problemu.

To było jej ósme lub dziewiąte spotkanie z Pezzanem. Dzięki Qwertemu dostała zaproszenie na kilka imprez w jego niezwykłym domu: żaglowcu o zielonym kadłubie, zacumowanym w skromnej dzielnicy Tigre. Podczas pierwszej z tych imprez zostali sam na sam na pokładzie, z kieliszkami wina i ze stopami wspartymi o reling, zapatrzeni w czarną toń rzeki Luján. Samo wspomnienie tamtej chwili wciąż wywoływało u niej rumieniec wstydu. Zdenerwowanie tak mocno ścisnęło jej gardło, że jąkała się przy każdym słowie. Większość osób zamierała bez ruchu na widok sławy. Ona zaś straciła mowę, stojąc twarzą w twarz z człowiekiem, który okradł najwięcej banków w historii Argentyny.

– Gdyby istniał Uniwersytet Napadów, on byłby jego rektorem – tak Qwerty przedstawił jej Pezzana.

Pezzano dał towarzyszom znak, że później dokończą partię. Podeszedł do Qwertego i uściskał go serdecznie niczym ulubionego siostrzeńca. Potem spojrzał na nią, uśmiechnął się i pocałował ją w policzek.

– Jak się masz, Minerwo?

– Dobrze, dziękuję.

– Masz to, o co prosiłem? – zapytał, spoglądając wymownie na plecaki, które ona i Qwerty mieli ze sobą.

– Tak, wszystko zgodnie z umową – odpowiedziała, zdejmując swój.

Postawiła go na sąsiednim stole bilardowym. Rozsunęła zamek, wyjęła pakunek wielkości cegły i ostrożnie położyła na zielonym suknie. W środku znajdowało się dwieście pięćdziesiąt kart kredytowych.

Pezzano poczuł nieodpartą chęć zganienia tej dziewczyny. W jego czasach nikt przy zdrowych zmysłach nie odważyłby się tak potraktować jednego z najlepszych stołów bilardowych w Buenos Aires. Ale czy mógł ją winić? Wyglądała na zaledwie dwadzieścia, może dwadzieścia pięć lat. To pewnie strach i chęć udowodnienia swojej wartości popchnęły ją do tej brawury, którą przecież on sam popisywał się w jej wieku.

Ostrożnie podniósł zawiniątko i przejrzał karty. Na każdej, pod logo Banco del Plata, znajdowały się różne personalia i numery. Westchnął cicho, gdy z nostalgią uświadomił sobie, jak bardzo zmieniły się czasy. W głowie mimowolnie zabrzmiała mu melodia tanga.

Dawniej po skoku dzielili między siebie pliki banknotów lub garście klejnotów. Ale ta robota była inna – swego rodzaju eksperyment, dywersyfikacja. Tak to nazywali w tych wszystkich książkach o inwestowaniu, które ostatnio pochłaniał.

Do niedawna Pezzano znał tylko dwa sposoby na obrabowanie banku. Pierwszy z nich polegał na wejściu przez drzwi w godzinach pracy placówki, kiedy sejf był otwarty. Problem stanowili pracownicy obecni na miejscu – wystarczyło dziesięć minut od naciśnięcia ukrytego przycisku pod biurkiem, by przed bankiem zjawiała się policja. Drugie rozwiązanie zakładało napad, gdy nikogo nie było w oddziale – najlepiej w piątek po południu, ale wtedy trzeba było znaleźć sposób na przebicie się przez dwadzieścia centymetrów stali i betonu broniących dostępu do sejfu.

Kilka miesięcy wcześniej Federico zaproponował trzecią opcję. Łączyła atuty dwóch poprzednich: włamanie o świecie i zgarnięcie łupu bez konieczności włamywania się do opancerzonego sejfu. Czujniki ruchu w biurach banku z pewnością się uruchomią, ale dziesięć minut powinno wystarczyć. Plan zakładał obrabowanie banku bez dotykania choćby jednego banknotu.

Cała operacja była możliwa dzięki pedantycznemu menedżerowi oddziału, który kazał podwładnym zapisywać dane każdej wystawionej karty w arkuszu kalkulacyjnym. W rezultacie informacje, które powinny istnieć jedynie w centrach danych Visa, znalazły się na pokrytym kurzem serwerze prowincjonalnego banku.

Nie potrzebowali palnika ani ładunków wybuchowych. Wystarczył zwykły śrubokręt, by podmienić dysk serwera na pusty. Następnie porysowali opancerzone drzwi sejfów i zdemolowali serwerownię, by całość sprawiała wrażenie chaotycznego napadu, podczas którego sfrustrowani złodzieje, niezdolni dostać się do pieniędzy, dali upust swej złości.

Ku zaskoczeniu Pezzana, ten etap planu się powiódł. Kolejnym krokiem była zamiana zdobytych danych na gotówkę. Wtedy okazało się, że syn innego bankowego rabusia – tego, który zakończył karierę z trzema kulami w piersi – był doświadczonym hakerem. Nazywali go Qwerty.

– Mamy osiem tysięcy dwadzieścia dwie karty – oznajmiła Minerwa, jego współpracowniczka. – W zaokrągleniu po pięć dolarów za kartę. To daje łącznie czterdzieści tysięcy.

Pezzano wiedział, że większość kart miała limit kredytowy pięciuset dolarów. Pięćset razy osiem tysięcy dawało cztery miliony. Jednak od teorii do praktyki daleka droga – niemożliwe byłoby wykorzystanie całego limitu każdej karty, zanim bank zorientowałby się, co się dzieje.

Na szczęście nie musiał zaprzętać sobie tym głowy. Jego rola dobiegała końca. Wystarczyło sprzedać karty kontaktowi w San Telmo po dwadzieścia dolarów za sztukę. Zysk netto – sto dwadzieścia tysięcy za kilka dni pracy. Podzielony na cztery osoby dawał niezły wynik. Nawet jeśli pośrednik zbiłby fortunę, jak to bywało z biżuterią i obrazami, nikt by nie narzekał.

„Niech ktoś inny będzie tym, kto zarobi ostatniego dolara” – przypomniał sobie kolejną mądrość zasłyszaną od jednego z inwestycyjnych guru.

Wyciągnął rękę za siebie i wyczuł szelest papierowej torby, którą podał mu Federico. Wręczył ją dziewczynie.

– Dziękuję – powiedziała. – Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałabym przeliczyć pieniądze.

Mimo pozornej pewności siebie, w jej głosie pobrzmiwało zdenerwowanie. Przyjrzał się jej przez moment. Wydawała mu się piękna. Nie w sensie seksualnym – był jednym z nielicznych czterdziestodzieciolatków, którzy wolą rówieśniczki od młodszych kobiet. Widział

w niej piękno, jakie ojciec dostrzega w córce. W końcu mogła być jego dzieckiem.

– Oczywiście – odparł. – Ale pozwól, że dam ci jedną radę. Nigdy więcej nie kładź niczego oprócz kul na stole bilardowym.

Minerwa zerknęła na swój podniszczony plecak, który spoczywał na zielonym suknie, zastanawiając się, czy go zabrać. Ale zanim zdążyła po niego sięgnąć, w ścianach sali zabrzmiał głuchy huk.

– Policja! Wszyscy ręce w górę! – rozległ się krzyk od drzwi, które właśnie sforsował oddział.

Minerwa poczuła, jak jej nogi uginają się, gdy zobaczyła pięciu federalnych agentów celujących w nią z broni.

Ostrożnie położyła papierową torbę z czterdziestoma tysiącami dolarów na stole bilardowym i powoli uniosła ręce. Kątem oka dostrzegła, że Qwertu robi to samo.

Ciszę rozdarł pierwszy wystrzał. Minerwa odwróciła głowę i zobaczyła Federica z pistoletem w dłoni. Błyszcząca łuska potoczyła się między bilami po zielonym suknie.

Czas niemal stanął w miejscu. Rozległ się kolejny strzał z przeciwnej strony, a z piersi Federica trysnęła fontanna krwi. Minerwa rzuciła się na podłogę, gdy wokół rozpętało się prawdziwe piekło. Powietrze wypełnił świst kul i huk wystrzałów.

Upadła na ziemię jednocześnie z Qwertym. On jednak nie zdołał zamortyzować upadku. Jego głowa z głuchym łoskotem uderzyła o kafelki. Patrzył na współniczkę nieobecny wzrokiem, a z dziury po kuli w czole sączyła się krew.

Rozpacz ścisnęła jej klatkę piersiową tak mocno, że ledwo mogła oddychać. Jak to możliwe, że prosta kradzież hasła w kafejce internetowej doprowadziła ją w sam środek tej masakry?

– Łap to! – zawołał leżący tuż obok Pezzano.

Położył na podłodze pistolet, identyczny do tego, który trzymał w drugiej ręce. To musiała być broń Federica. Popchnął ją w jej stronę, a pistolet potoczył się pomiędzy niedopałkami papierosów, aż dotknął kolana Minerwy. Wzdrygnęła się gwałtownie, odsuwając się od niego jak od jadownego węża.

Pokręciła głową, patrząc na Pezzana. Hakowanie wielkiej korporacji to jedno, ale strzelanie do policji to zupełnie co innego. Zdecydowanym ruchem odepchnęła broń i zaczęła czołgać się pod stołami bilardowymi. Dostrzegła, że Pezzano cofa się razem z nią, jednocześnie ostrzeliwując salon, podczas gdy strzelanina przeniosła się w jego głąb.

Gdy dotarli do tylnej ściany, przy której stały stojaki z kijami do bilardu, Minerwa gorączkowo rozejrzała się wokół. „I co teraz?” – przemknęło jej przez myśl, gdy tuż nad nią w drzazgi rozpadł się bilardowy kij.

– Chodź! – krzyknął Pezzano.

Ruszył do drzwi z napisem „Prywatne”, za którymi przed chwilą zniknęli jego dwaj kompani. Skinął na Minerwę, by pobięła za nim.

Ona jednak znieruchomiała przy drugim końcu ściany. Wiedziała, że gdyby teraz wstała i ruszyła, podziurawiliby ją jak sito.

Pozostało jej tylko jedno.

– Poddaję się! – krzyknęła, unosząc ręce.

– Nie, nie! – dobiegł ją rozpaczliwy krzyk Pezzana.

Zignorowała go i wyjrzała zza stołu do snookera. W tym momencie ujrzała wycelowaną w siebie lunę rewolweru i usłyszała huk wystrzału.

Piętnaście gramów ołowiu przemknęło obok jej lewego ucha z ponaddźwiękową prędkością. Sekundę później poczuła ciepło w kroku – zsiąkała się ze strachu. Dlaczego strzelali, skoro już się poddała?

Zrozumiała to, zanim Pezzano wrzasnął z pomieszczenia.

– To nie są policjanci!

Jego zmęczona twarz pojawiła się w drzwiach, ledwie widoczna zza masywnego stołu do snookera.

Pokazał jej kciuk skierowany w górę, a potem wyprostował palec wskazujący. Wtedy Minerwa zrozumiała, że rabuś odlicza. Problem w tym, że nie wiedziała, co powinna zrobić, kiedy...

Mężczyzna uniósł trzeci palec i gwałtownie wyskoczył zza osłaniającego go stołu, opróżniając magazynek w stronę sali.

– Teraz! Biegnij! – krzyknął Pezzano pomiędzy seriami strzałów.

Minerwa rzuciła się na czworakach w kierunku drzwi. Kule świstały tuż nad nią i strącały tynk ze ściany. Te dziesięć metrów wydawało się najdłuższym dystansem, jaki kiedykolwiek pokonała.

W końcu wpadła do magazynu wypełnionego połamanymi korkami, pudłami ze zużytymi bilami i skrzynkami z pustymi butelkami po piwie.

Pezzano przekręcił klucz i dwa stalowe skoble wsunęły się w futrynę. „Po co antywłamaniowe drzwi w tej zakurzonej komórce?” – przemknęło jej przez głowę.

– Szybko, nie mamy czasu – rzucił Pezzano, odciągając ją od drzwi drżących od pierwszych uderzeń kul.

– Gdzie reszta? – zapytała.

Pezzano bez słów wskazał sufit i pociągnął ją za ramię w kierunku drabiny ukrytej za regałem. Wspinając się, zrozumiała sens wzmocnionych drzwi.

Znaleźli się na antresoli o wysokości zaledwie dwóch metrów, gdzie stało biurko, sofa i sejf. Nie było tam żadnych drzwi ani okien, a jedynie drabina prowadząca do otworu w suficie.

Wspięli się po niej do ciasnego pomieszczenia z uchylonymi drzwiami, przez które wpadało rześkie, poranne powietrze.

Wybiegli na taras otoczony ze wszystkich stron ścianami przyległych budynków. Trzy z nich były zupełnie ślepe, a czwarta wznosiła się zaledwie na trzy metry.

– Gliny noszą pistolety, nie rewolwery – mruknął Pezzano, zwinnie wspinając się po ocynkowanej rynnie, stawiając stopy na obejmach mocujących ją do muru.

– Co ty nie powiesz...

Minerwa ruszyła jego śladem, ale gdy tylko oderwała stopy od podłoża, by wspiąć się na rynnę, osunęła się na płyty tarasu. Spojrzała w górę – Pezzano zniknął za krawędzią. Wiedziała, że jeśli zaraz się tam nie dostanie, zginie.

Spróbowała ponownie, ale tylko wbiła sobie w łydękę zardzewiałą śrubę. Za plecami usłyszała kroki. Ktoś zbliżał się do drzwi.

W ostatniej chwili zza krawędzi dachu wynurzył się Pezzano i wyciągnął do niej dłoń. Minerwa chwyciła ją rozpaczliwie, odbiła się od ściany i podciągnęła na murek.

Pędzili teraz jak szaleni, między odrapanymi murami sąsiednich domów, po płaskim jak stół dachu. U jego kresu odkryli, że stoją na szczycie

dwupoziomowego parkingu przy ulicy Hipólito Yrigoyen. Na dole zobaczyli ludzi Pezzana biegnących w stronę skrzyżowania z ulicą Piedras.

– Musimy zejść na dół – oznajmił stanowczo.

– Przecież do ziemi jest jakieś osiem metrów!

– Musimy zejść na dół – powtórzył i bez wahania zaczął zsuwać się po okratowanym oknie parkingu.

Minerwa ruszyła za nim. W kilka sekund znaleźli się na gzymsie nad główną bramą wjazdową.

– Przy lądowaniu zegnij kolana – rzucił przez ramię i skoczył.

Kobieta wstrzymała oddech, patrząc jak Pezzano zwinnie ląduje na chodniku, robi przewrót i natychmiast zrywa się na równe nogi.

– Skacz – zawołał z dołu.

Nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

– Skacz, proszę.

Usłyszała krzyki nad swoją głową.

Zamknęła oczy, policzyła do trzech i skoczyła. Zapomniała tylko ugiąć nogi i przy zetknięciu z ziemią usłyszała trzask w prawej kostce.

– Chyba coś złamałam – jęknęła.

– Nie ma czasu – syknął Pezzano. Pomógł jej wstać i pociągnął za sobą, zmuszając do biegu.

Każdy krok powodował ból nie do zniesienia.

Trzymając się za ręce, dobiegli w końcu na plac 9 de Julio. Po dwóch kompanach Pezzana nie było ani śladu. Musieli złapać taksówkę.

– Dlaczego mi pomagasz? – zapytała, gdy wreszcie opadła na tylne siedzenie.

– Bo mnie też ktoś kiedyś pomógł.

– Mieliliśmy ogromne szczęście.

– Każdy ma szczęście przynajmniej dwa razy w życiu – odparł, delikatnie poklepując ją po dłoni. – Nie martw się, zostałeś ci jeszcze jeden raz.

Gdy taksówka mknęła najszybciej na świecie aleją, Minerwa przymknęła oczy. Wciąż widziała Qwerty'ego leżącego na podłodze z dziurą w głowie. Gwałtownie uniosła powieki. Decyzja zapadła. Gdy tylko wysiądzie z tego samochodu, raz na zawsze skończy z hakowaniem. Pójdzie na studia i znajdzie normalną pracę.

Tego poranka, trzymając za rękę złodzieja, który właśnie uratował jej życie, przysięgła sobie, że zerwie ze światem przestępczym.

I słowa dotrzymała. Na czternaście długich lat.

ROZDZIAŁ 3

*Trelew, Chubut, Argentyna.
Jedenaście miesięcy po milondze.*

Noelia Viader westchnęła i rozsiała się wygodnie na sofie. Od godziny studiowała dokumenty i plany na laptopie, spoczywającym na jej kolanach. Zdążyła już opróżnić trzy kieliszki wina.

Sięgnęła po butelkę i dołała sobie trunku. Zawahała się, gdy jej palec zawisł nad ikoną przypominającą cebulę. Po kliknięciu na ekranie pojawiło się charakterystyczne fioletowe okno Tora, najbezpieczniejszej przeglądarki internetowej na świecie.

Nikt nie mógł dojść, kto kryje się po drugiej stronie połączenia. Ani dostawca Internetu, ani potężny Google, ani nawet wszechwładne CIA – żadna z tych organizacji nie była w stanie jej wysledzić. Dark web był najciemniejszym zaułkiem sieci, a Tor stanowił jedyną furtkę do tej mrocznej części cyfrowego świata.

W pasku wyszukiwania Noelia wpisała adres strony, której nie odwiedzała od czternastu lat. Wtedy to, bawiąc się w hakerkę, swojej lekkomyślności o mało nie przypłaciła życiem jak Qwerty.

Znajomy ucisk w gardle powrócił na wspomnienie przyjaciela. Gdyby wtedy nie uparła się na realizację przekrętu z kartami kredytowymi, Qwerty wciąż by żył. Przełknęła gorzki smak winy wraz z kolejnym łykiem wina i nacisnęła Enter.

Strona, którą otworzyła, była zaszyfowaną usługą e-mail, stworzoną dla hakerów, która szybko znalazła uznanie wśród ludzi obsesyjnie dbających o swoją prywatność w sieci. Ludzi takich jak ona.

Kilkoma kliknięciami opłaciła bitcoinami subskrypcję kosztującą dziesięć dolarów i założyła niemożliwe do śledzenia konto. Następnie

wpisała adres, który Pezzano podał jej w noc milongi, i napisała krótką wiadomość:

„Czy masz bezpieczny numer telefonu, pod który mogę do ciebie zadzwonić? Pozdrawiam. Minerwa”.

Jednym haustem opróżniła czwarty kieliszek. Odstawiła laptopa na bok i rozciągnęła się na kanapie, bezwiednie bawiąc się bransoletką na lewym nadgarstku. Założyła ją dzisiaj po raz pierwszy od miesiący. Biżuteria ją drażniła.

Z każdą chwilą irytowała coraz bardziej.

Odpowiedź od Pezzana nadeszła po kwadransie. Była równie zwięzła co jej wiadomość. Zawierała numer telefonu i dwa słowa:

„Zadzwoń teraz”.

Nalała do kieliszka resztę malbecu i wybrała numer na starej Nokii, kupionej dwie noce wcześniej w sklepie z używanymi rzeczami. Przełknęła kolejny łyk wina niczym wodę. Nie pamiętała, kiedy ostatnio wypila tak dużo alkoholu.

„Nie jestem w najlepszej formie na rozmowę” – przemknęło jej przez myśl.

Mimo to, bez cienia strachu czy wahania, nacisnęła zielony przycisk. Poczowała ulgę. Długo planowała ten krok. Nie miała już nic do stracenia.

Pokręciła głową, usiłując przegonić napływające wspomnienia. Ostry ból przeszył jej skronie, jakby ktoś z całej siły uderzył ją młotem prosto w środek czaszki.

„Jestem pijana i jednocześnie mam kaca. Starzeję się, do kurwy nędzy”.

– Robimy postępy – w słuchawce zabrzmiał donośny głos Pezzana. – Tym razem czekałaś tylko rok, a nie piętnaście lat.

– Gdzie jesteś?

– Żegluję wzdłuż brazylijskiego wybrzeża. Zacumowałem w małym porcie tuż przy granicy z Urugwajem. Jutro lub pojutrze powinienem dotrzeć do Punta del Este.

– Pamiętasz, co podczas milongi mówiłam ci o mojej pracy?

– Jak mógłbym zapomnieć?

– Mam wszystko, czego potrzeba, aby okraść kopalnię.

- Nieźle. Podrzucić mi jakiś konkretny, to oszacuję, ile mogę ci za to zapłacić.
 - Nie chcę tego nikomu sprzedawać, Mario. Zrobimy ten skok razem.
 - Kto?
 - My. Ty, ja i minimum trzy dodatkowe osoby.
- Pezzano parsknął śmiechem.
- Co się z tobą dzieje? Wróciłeś na ciemną stronę?
 - Trudno wyprostować kogoś, kto przyszedł na świat pokręcony...
 - Mówiłem ci, że ci ludzie są nieodpowiedzialni. Jak mogli cię zatrudnić? Oplacają swojej małej pracownicy kursy w Buenos Aires, a ona chce ich teraz oskubać.
 - Byłej pracownicy.
 - Ach. Więc to zemsta?
- Noelia nie odpowiedziała. Jej wzrok zatrzymał się na bransoletce – złotym łańcuszku z figurkami pumy i guanako. Zwierzęta miały wyciągnięte łapy, zupełnie jakby drapieżnik ścigał swą ofiarę.
- O jakiej kwocie mówimy? – zapytał Pezzano.
 - Wartość rynkowa łupu to od około dwunastu do piętnastu milionów dolarów. Myślę, że uda nam się wyciągnąć na czysto minimum sześćdziesiąt procent tej sumy.
- W słuchawce ponownie rozległ się śmiech.
- Naprawdę proponujesz mi wspólny skok?
- Noelia dopiła resztę wina. Natychmiast poczuła na języku i zębach szorstki osad.
- To nie propozycja, lecz zaproszenie. Zamierzam to zrobić, z tobą lub bez ciebie.
 - Minerwa, zadam ci pytanie i liczę na szczerą odpowiedź.
 - Śmiało.
 - Jesteś pijana?
 - Możliwe.
 - Więc dzwonicz do mnie na rauszu, nie tłumaczysz naglej zmiany zdania i oczekujesz, że potraktuję to poważnie?
 - Oczekuję tylko, że wysłuchasz mojego planu. Nic więcej. Jak ci nie podpasuje, możesz dalej odgrywać Jacquesa Cousteau. Zdzwonicz się jutro o tej samej porze.

Rozłączyła się, nie czekając na reakcję. Przymknęła powieki i wzięła głęboki oddech. Świat zdawał się wirować. Przełknęła kilkakrotnie ślinę. Gdy znów otworzyła oczy, zorientowała się, że mimowolnie wcisnęła dwa palce między bransoletkę a skórę.

Stłumiła chęć zerwania błyskotki. Lepiej trzymać wrogów blisko siebie.

ROZDZIAŁ 4

Trelew, Chubut, Argentyna.

Dwanaście dni po rozmowie telefonicznej z Pezzanem.

„Diabeł tkwi w szczegółach”. Noelia musiała przyznać rację temu staremu porzekadłu. Kiedy po raz pierwszy przyglądała się swojemu planowi, wydawał się dość prosty. Wejść, otworzyć skarbiec – najlepiej bez rozlewu krwi – i zniknąć. Dwie godziny. Tyle mieli czasu, zanim policja dotrze do tej zapomnianej przez Boga i ludzi kopalni złota.

– Pięć ton? Jak, u licha, mamy stamtąd wywieźć pięć ton? – zapytał Pezzano, stukając palcem w mapę.

Zaledwie pół godziny wcześniej dotarli do przytulnego domku, który Noelia odziedziczyła po rodzicach po ich przeprowadzce do Barcelony. Odebrała współnika z portu Rawson i razem pokonali dwadzieścia jeden kilometrów, wspominając dawne czasy i życie na morzu. Rozmawiali o wszystkim oprócz planu.

– Pięć ton to wcale nie tak dużo – odpowiedziała ze spokojem w głosie. – To ilość, którą zdołamy opanować. Stop *doré* jest dziesięć razy cięższy od wody.

– *Doré*?

– Tak nazywają stop złota i srebra wytwarzany w tej kopalni. Pojedyncza sztabka waży sześćdziesiąt kilo.

– Sześćdziesiąt kilo! – wykrzyknął Pezzano, rozkładając ręce w geście zdumienia.

– Nie są specjalnie duże. Mają rozmiar trzech półtoralitrowych butelek.

– A ja wyobrażałem sobie coś w rodzaju dużej tabliczki czekolady.

– Takie są sztabki czystego złota przechowywane w bankach. Sztabki z Entrevientos to złoto przemysłowe. Mniejsze byłyby niepraktyczne,

większe – zbyt trudne do transportu. Sześćdziesiąt kilogramów to idealny kompromis.

– Cięższe niż worek cementu. Nigdy nie dałem rady podnieść takiego ciężaru – przyznał Pezzano.

– Wątpię, byś w ogóle próbował.

– Dobra, Minerwo, przejdźmy do konkretów. Zdradzisz mi w końcu szczegóły tego planu?

Noelia uśmiechnęła się.

– O co ci chodzi? – zapytał, zaintrygowany jej reakcją.

– Dawno nikt się tak do mnie nie zwracał.

– Znam cię tylko pod tym imieniem.

– W porządku. Minerwa mi odpowiada. Wszystko ci opowiem, jednak najpierw muszę cię o coś zapytać.

– Niech zgadnę! Zastanawiasz się, dlaczego przepłynąłem półtora tysiąca kilometrów, żeby cię zobaczyć, zamiast siedzieć na pokładzie Maese w Punta del Este i sączyć mojito?

– Właśnie.

– Masz jakąś teorię?

– Przychodzi mi do głowy tylko jedna – kończą ci się pieniądze z napadu na Bank Río.

Gromki śmiech Pezzana wypełnił jadalnię.

– Zimno. Wręcz lodowato. Nigdy nie słyszałaś o zasadzie czterech procent?

Noelia pokręciła głową.

– To proste. Inwestujesz w konkretne akcje i obligacje na całym świecie. Te dają siedem procent rocznego zwrotu w dolarach. Odejmujesz trzy procent – tyle wynosi szacowana inflacja w USA – zostaje ci cztery procent. Jeśli wydasz tylko tę kwotę, nigdy nie uszczuplisz kapitału.

– Nie sądziłam, że jesteś aż tak zapobiegliwy.

– Co, czy złodziej nie może być przewidujący? – rzucił z przekąsem.

– Nie to miałam na myśli. Po prostu dziwi mnie, że mając tak dobrze poukładane finanse i ustabilizowane życie, wciąż kusi cię kolejny skok

Noelia szybko obliczyła: przy trzech milionach dolarów z napadu na Bank Río, cztery procent dawało sto dwadzieścia tysięcy rocznie. To z kolei dziesięć tysięcy miesięcznie bez kiwnięcia palcem.

– Mówiłem ci to już wcześniej. Poukładane życie jest fajne przez pewien czas. Potem zaczyna doskwierać.

– Czyli po prostu się nudzisz – podsumowała.

Pezzano uśmiechnął się gorzko, wskazując na siebie.

– Jestem tu, bo się starzeję.

– Jesteś chory?

– Zdrow jak ryba.

– Więc o co chodzi?

Wzrok Pezzana utkwiał w nieokreślonym punkcie na ścianie.

– Czasami, gdy jestem na Maese, sam pośrodku oceanu, wyobrażam sobie, że skaczę za burtę. I wiesz, co się dzieje? Nic. Nie tonę, nie pożera mnie rekin, nie ratuje żaden helikopter. Jakby świat o mnie zapomniał. Czy teraz mnie rozumiesz? – zapytał, spoglądając ponownie na mapę kopalni.

Noelia skinęła głową. W ostatnim czasie sama czuła się podobnie – jakby dryfowała po morzu obojętności.

– Ale nie myśl sobie, że nie podejść do tej akcji poważnie – dodał złodziej. – Nawet jeśli niekiedy dopada mnie zniechęcenie, zdaję sobie sprawę z tego, jak uprzywilejowane życie wiodę. Jeśli mam zaryzykować utratę wolności, twój plan musi być bez zarzutu. W przeciwnym razie nawet nie zaczynaj. No, słucham.

I tak Noelia, a raczej Minerwa, przez kolejne pół godziny snuła swoją opowieść.

CZĘŚĆ II

PLAN

ROZDZIAŁ 5

San Rafael, Mendoza, Argentyna.

Dwa i pół miesiąca po spotkaniu w Trelew.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział taksówkarz, wskazując na otwartą bramę między drzewami przy drodze.

Przez całą pięciokilometrową trasę z dworca autobusowego w San Rafael kierowca pochłonięty był nuceniem piosenek Calamara płynących z radia. Nawet gdy wjechali na polną drogę, a jałowy pustynny krajobraz ustąpił miejsca zalesionemu terenowi, nie przerwał swojej melodii.

Minerwa zapłaciła i wysiadła. Taksówka zawróciła i odjechała, zostawiając ją samą przed otwartą bramą. Na drewnianym szyldzie widniał napis: „Witamy w Parku linowym Treetop”.

Przeszła przez bramę, ciągnąc za sobą małą walizkę – jedyny bagaż, z którym przebyła długą drogę z Trelew do Mendoza, z przesiadką w Buenos Aires. Najcenniejszy ładunek jednak kryła w głowie i na zaszyfrowanym serwerze w odległej Nowej Zelandii.

Żwirowa ścieżka wiła się między drzewami i prowadziła do niezwykłej konstrukcji. Zamiast tradycyjnego schroniska, które pasowałoby do tego małego skrawka górskiego terenu, przed oczami Minerwy wyrosła ogromna półkula złożona z setek trójkątnych paneli. Przypominała gigantyczną piłkę golfową wkopaną w ziemię. Na drzwiach wejściowych, niczym w igloo, widniał napis: „Recepcja”.

W tej samej chwili ciszę przesyłał świst. Kobieta uniosła głowę i dostrzegła dziewczynkę mknącą po stalowej linie rozpiętej między dwoma drzewami.

– Mam przecucie, że to miejsce przypadnie ci do gustu – usłyszała za sobą.

W drzwiach futurystycznego budynku stał mężczyzna około czterdziestki. Jego wygląd przykuwał uwagę: szerokie ramiona, bujna czupryna z nutą siwizny i śnieżnobiałe zęby kontrastujące z ciemną, zadbaną brodą.

Podszedł do niej i mocno uściśnął jej rękę – jego dłonie były szorstkie od pracy fizycznej.

– Dla ciebie, szefowo, jestem Mac.

Uśmiechnęła się.

– Minerwa... i nie jestem szefową. Jesteśmy zespołem – sprostowała.

– To może mam powiedzieć chłopakom, żeby zmienili ci pseudonim? – odpowiedział, wskazując na budynek za nim.

– Myślę, że tak.

– W porządku, nie-szefowo, miło cię w końcu poznać osobiście. Mario powinien wkrótce do nas dołączyć. Twój kumpel z Patagonii też jest w drodze – miał niewielkie opóźnienie na lotnisku w Comodoro. Pozostała dwójka jest już w środku. Chodź, przedstawię ci ich.

Zanim weszli do recepcji, Minerwa dostrzegła kolejne półkuliste konstrukcje rozsiane wśród drzew. Każda miała inny rozmiar i pokrycie, co tworzyło dość surrealistyczny krajobraz.

– Mario miał rację – powiedziała do Maca.

– Co do czego?

– Że to miejsce jest wyjątkowe – odpowiedziała, przekraczając próg recepcji.

W centrum okrągłego pomieszczenia stało masywne biurko wykonane z połówek bali. Obok znajdował się dystrybutor wody i automat z napojami gazowanymi – nowoczesne akcenty w tym rustykalnym otoczeniu.

– Zakładam, że nigdy wcześniej nie byłeś w kopule geodezyjnej, co? – zapytał Mac.

– Nigdy – odparła Minerwa, mimowolnie unosząc głowę.

Sufit tworzyły trójkątne panele z drewnianych listew. Na wielu z nich wisały kolorowe kaski, uprząże i połyskujące karabinki. Na innych widniały plakaty reklamujące lokalne atrakcje oraz wycinki z gazet, na których Mac z dumą pozował przed swoim niezwykłym przedsięwzięciem.

– To wspaniałe konstrukcje – powiedział, podskakując zwinnie i chwytając pasy uprząży zwisającej z sufitu. Jego stopy zawisły kilka

centymetrów nad ziemią. – Są lekkie, zbudowane z niedrogich materiałów, a jednocześnie niezwykle wytrzymałe.

– Czym dokładnie jest to miejsce? – zapytała Minerwa.

Mac sprawnym ruchem przeskoczył na kolejną uprząż i zbliżył się do Minerwy.

– To park aktywnej rozrywki. Żeby mieć frajdę, trzeba się trochę napocić. Sama się przekonasz – odpowiedział i zeskoczył na ziemię. Wskazał drzwi naprzeciwko wejścia.

– Chodź, przedstawię ci resztę ekipy.

Przeszli korytarzem przypominającym harmonijkowe przejście między wagonami pociągu – w kobiecie natychmiast odżyły wspomnienia studenckich wypraw. Gdy wkroczyli do kolejnej, większej sali jej oczom ukazał się komin, nad którym górował masywny metalowy dzwon. Z jego kopuły unosiła się para, która wypełniała powietrze aromatem wanilii przemieszanym z nutą dymu drzewnego.

Na skórzanych kanapach otaczających palenisko siedziało dwóch mężczyzn. Pierwszy, wyglądający na nie więcej niż trzydzieści lat, miał ciemną karnację. Jego andyjskie rysy twarzy sugerowały, że to ekspert od zamków z Salty. Minerwa nie miała wątpliwości, zwłaszcza gdy zobaczyła w jego dłoniach metalowy sześcian przypominający miniaturowy sejf.

Drugi mężczyzna, wyraźnie starszy, również o śniadej cerze, miał krótko przystrzyżone włosy i potężnie wyrzeźbione ramiona – to bez wątpienia efekt regularnych i intensywnych treningów. Choć wyglądał na rówieśnika Maca, zmarszczki i szorstkie rysy zdradzały, że los obszedł się z nim mniej łaskawie.

Na widok Minerwy obaj mężczyźni wstali i podeszli, by się przywitać.

– Jestem Ślusarz – powiedział młodszy, z charakterystycznym dla północno-zachodniej Argentyny akcentem, w którym podwójne „r” brzmiało jak bzyczenie rozszluszczanej pszczoły.

– Ten pseudonim najwyraźniej przylgnął do ciebie na dobre – odparła Minerwa.

– Cóż, jestem prawdziwym ślusarzem. To naturalne, że wszyscy tak mnie nazywają.

– Ja jestem Proch – przedstawił się drugi. – To mój nowy pseudonim, ale już go polubiłem.

Jego oczy, o intrygującym brązowo-zielonym odcieniu, przywodziły na myśl spojrzenie drapieżnego kota. Między palcami trzymał brunatne cygaro, które roztaczało wokół słodkawy zapach wanilii.

– Miło cię poznać, szefowo – dodał.

– Nie nazywaj jej „szefową” – szybko wtrącił Mac.

Proch i Ślusarz wymienili zdumione spojrzenia, jakby właśnie runął ich starannie przygotowany plan powitania.

– Jesteśmy zespołem – wyjaśniła. Każdy z nas ma swoją rolę. Moim zadaniem jest dostarczanie informacji.

– A co powiesz na „Wiki”? Pasowałoby do twojej roli – zasugerował Proch.

– Nie ma mowy – zaśmiała się. To brzmi zbyt fantazyjnie. Poza tym mam już pseudonim. Jestem Minerwa.

– Jak ta marka soku z cytryny? – zapytał Proch.

– Jak bogini mądrości i strategii wojennej – odpowiedziała z powagą w głosie.

Zapadła chwila ciszy, jak gdyby mężczyźni potrzebowali czasu, aby oswoić się z tą informacją.

– Podoba mi się – przyznał wreszcie Proch. – Ma potencjał.

„Nawet gdyby ci się nie podobało, i tak nic by to nie zmieniło” – pomyślała kobieta.

– No to rozgość się – zaproponował Mac, wskazując na wygodne, obite skórą fotele.

– Dziękuję, ale po dwóch lotach samolotem, czterogodzinnej podróży autobusem i przejażdżce taksówką, wolę na razie postać.

Wspólnik wzruszył ramionami.

– Jak wolisz. Opłata i tak będzie taka sama – oznajmił z figlarnym uśmiechem. – Ślusarzu, zrób jej mate albo coś innego do picia. Ja muszę zająć się jeszcze ostatnimi klientami. Kiedy dołączą do nas pozostali, zaczniemy.

Minerwa skinęła głową, akceptując plan, a Mac ruszył energicznym krokiem w kierunku recepcji.

– Mate? – zaproponował Ślusarz, kierując się ku eleganckiej szafce, która idealnie komponowała się z zakrzywioną ścianą.

Minerwa przytaknęła w milczeniu, po czym ponownie uniosła wzrok, by podziwiać niezwykłą architekturę.

– Fascynujące połączenie, prawda? Jakby hippisowska chata spotkała się ze scenografią z filmu science fiction – zauważył Proch, rozsiadając się wygodnie na kanapie.

– Ten facet to istny czarodziej – dodał Ślusarz z nutą podziwu w głosie.

– Bez wątpienia – przyznała. – Nie każdy potrafiłby stworzyć coś takiego. Zastanawiam się, ilu specjalistów musiał zatrudnić. Murarzy? Stolarzy?

– Nie zatrudniał nikogo. Wszystko zrobił własnymi rękami.

– Nawet meble – dodał Proch, odsłaniając fragment poduszki i ukazując kunsztowną konstrukcję z palet ukrytą pod materiałem.

– Sam? – zapytała z niedowierzaniem, kładąc na stole laptopa i mały projektor.

– Tak, sam – potwierdził Ślusarz. – Ale nie widziałś jeszcze wszystkiego.

ROZDZIAŁ 6

*Trelew, Chubut, Argentyna.
Dwa i pół miesiąca wcześniej.*

Minerwa obserwowała Pezzana, siedząc na tej samej kanapie, z której dwanaście dni wcześniej wysłała mu wiadomość. Stary rabuś uważnie wysłuchał przedstawionego planu. Krążąc niespokojnie po jadalni przyznał, że ten skomplikowany napad przypomina labirynt pełen głodnych lwów.

Minerwa nerwowo bębniła palcami po tapicerce sofy, czekając na werdykt. Zaangażowanie Pezzana było kluczowe. Bez niego całe przedsięwzięcie stawalo się o wiele trudniejsze.

– To byłoby szaleństwo, Minerwa – oznajmił w końcu.

Uniosła głowę gotowa bronić swojego pomysłu, lecz w jego oczach dostrzegła znajomy błysk – tę osobliwą mieszankę ekscytacji i łobuzerskiej przekory.

– To byłoby szaleństwo, gdybym nie wziął udziału w czymś tak emocjonującym – dokończył.

– Serio? – zapytała zaskoczona. Z trudem powstrzymała chęć rzucenia mu się na szyję.

– Absolutnie serio. Ale do tej karkołomnej misji potrzebujemy specjalnej ekipy. Przede wszystkim kogoś, kto zna okolicę jak własną kieszeń.

– Mam idealnego kandydata – odparła Minerwa, a przed oczami stanął jej Norbert Segura, jej zaufany współpracownik z kopalni w Patagonii.

– Niezbędni będą jeszcze ślusarz, specjalista od materiałów wybuchowych i... Mac.

- Rozumiem, że ślusarz to ten, który otworzy skarbiec.
- Zgadza się.
- A pozostali?
- Specjalista od wybuchów to nie tylko pirotechnik. To człowiek z odpowiednimi koneksjami, który wie, gdzie zdobyć broń i sprzęt. Na ten skok nie wystarczą plastikowe pistolety.
- Jak podczas skoku na Banco Río... – wtrąciła Minerwa.
- Dokładnie. Do tej akcji potrzebujemy prawdziwego arsenału, nie atrap z zabawkowego sklepu.
- A ten tajemniczy Mac? Kim on właściwie jest?
- To MacGyver, geniusz improwizacji. Facet, który potrafiłby wy-
czarować spadochron z rolki drutu i gumy do żucia, gdyby zaszła taka
potrzeba. W każdym napadzie idzie coś nie tak, nawet w tym perfek-
cyjnie zaplanowanym. Mac potrafi przekuć potencjalną katastrofę
w „mistrzowskie dzieło”, o którym potem rozpisują się wszystkie gazety. –
Pezzano zamyślił się na chwilę.
- Znam idealnego kandydata. Próbowałem go zwerbować w 2005, ale
wtedy stanowczo odmówił. Teraz jednak jego sytuacja wygląda zupełnie
inaczej.
- A ślusarz i specjalista od wybuchów?
- Też ich znajdę. Z nimi nasz skład będzie kompletny.
- Prawie – poprawiła go Minerwa. – Potrzebujemy jeszcze trzech
psów.
- Psów? Jakich psów?
- Puszystych i szczekających.
- Moment, moment. Mówisz o prawdziwych psach?
- Owszem, i to nie byle jakich. Potrzebujemy psów pasterskich,
prawdziwych mistrzów w swoim fachu. Takich, które na jedno skinienie
właściciela w mgnieniu oka zapędzą całe stado owiec do zagrody.
- Nie rozumiem – powiedział Pezzano. – Po co nam, na miłość
boską, trzy psy w tej akcji?
- Wyjaśnienie planu zajęło Minerwie kilka minut.

ROZDZIAŁ 7

San Rafael, Mendoza, Argentyna.

Dwa i pół miesiąca po spotkaniu w Trelew.

Minerwa właśnie rozciągała zdrętwiałe po długiej podróży kończyny, gdy drzwi jadalni ponownie otworzyły się i do pomieszczenia wszedł Mac. Za nim wkroczyli Mario Pezzano i Norberto Segura, dawny współpracownik Minerwy z kopalni Cerro Retaguardia.

– Jak się masz, dziewczynko? – Pezzano czule ucałował ją w policzek. – Jak cię traktują ci przestępcy?

Pomieszczenie wypełnił gromki śmiech. „To dobry początek” – przemknęło jej przez myśl.

– Na razie mogę tylko powiedzieć, że Ślusarz parzy boską matę.

Norberto Segura przywitał ją niedźwiedzim uściskiem. Przybrał na wadze, ale jego łysina lśniła tym samym blaskiem co pięć lat temu, gdy Minerwa żegnała się z kopalnią Cerro Retaguardia. Przyprószona siwizną broda nadawała czterdziestopięciolatkowi dostojny wygląd.

Po krótkiej wymianie żartów i uprzejmości Pezzano klasnął w dłonie, przywołując wszystkich do porządku.

– No dobrze, panowie. Przejdziemy do sedna sprawy.

Towarzystwo rozlokowało się wygodnie na sofach wokół kominka. Minerwa zajęła miejsce naprzeciwko Maca i dyskretnie go obserwowała. Choć nie był klasycznym przystojniakiem, miał w sobie „to coś”, zwłaszcza, gdy się uśmiechał.

– Panowie, moja rola w tym przedsięwzięciu jest drugoplanowa – rozpoczął Pezzano. – Właściwie nawet nie zamierzam postawić stopy w kopalni.

– Naprawdę? – zdziwił się rozparty w fotelu Proch.

– Naprawdę. Tym razem ograniczę się do doradztwa i finansowania. Plan naszej genialnej koleżanki jest mistrzowski, ale kosztowny. Panowie, oto wasza prawdziwa szefowa.

Mac rozpoczął oklaski, do których ochoczo dołączyli pozostali. Kobieta podziękowała im uśmiechem.

– Minerwa – sprostowała, gdy oklaski ucichły. – Ustaliliśmy, że nazywam się Minerwa. Doceniam wasz entuzjazm, choć jeszcze nie poznaliście szczegółów mojej propozycji.

– Ja bezgranicznie ufam Mariowi – wtrącił Proch, wzruszając ramionami.

– Mariowi? – zapytała Minerwa, rozglądając się po pomieszczeniu z udawanym zdziwieniem. – Nie znam żadnego Maria.

Proch wskazał na Pezzana.

– Bankier – poprawiła stanowczo. – To kluczowe, byśmy od tej chwili posługiwali się wyłącznie pseudonimami. Na początku może być to trudne, ale w dniu akcji nie możemy ryzykować użyciem prawdziwego imienia. Musimy się do tego przyzwyczaić. Od tej chwili nie ma Maria Pezzana, jest tylko Bankier.

Mężczyźni skinęli głowami na znak zgody.

– Świetnie. Przejdźmy do rzeczy – powiedziała kobieta, odruchowo podwijając lewy rękaw. – Naszym celem jest Entrevientos, kopalnia złota zarządzana przez kanadyjski koncern Inuit Gold.

– Entrevientos – powtórzył Ślusarz, zręcznie obracając w dłoni metalowy sześcián. – Cóż za trafna nazwa. Pasuje do każdego zakątka tej wietrznej Patagonii, nieprawdaż?

– Tak właśnie nazywało się pole, na którym znajduje się złożo – dodał Norberto Segura, kiwając głową.

– Dokładnie – potwierdziła Minerwa. – Entrevientos wydobywa złoto na terenie dawnych pastwisk. Trzydzieści dziewięć tysięcy hektarów kompletnego pustkowia.

– Kurwa, to naprawdę spory kawałek ziemi – zagwizdał z podziwem Proch.

– I właśnie dlatego każdy z nas musi wykonać swoją część zadania perfekcyjnie, niczym wirtuoz w orkiestrze symfonicznej. Na przykład,

potrzebujemy kogoś, kto zna tamtejsze drogi jak własną kieszeń. I nie ma lepszego fachowca od... – Minerwa wskazała na Segurę, ale ten ją uprzedził, unosząc dłoń.

– Jestem jedynym rodowitym Patagończykiem w tym szacownym gronie. Możecie mówić mi Pata.

– Świetnie – kontynuowała, zwracając się do reszty. – Pata, mimo niepozornego wyglądu, to jeden z najsprytniejszych piratów drogowych lat 90. Prawdziwy król patagońskich szos.

– Trafiłem do więzienia, więc chyba nie byłem aż tak dobry.

– Jest nie tylko ekspertem od ciężarówek. Przepracował też rok w Cerro Retaguardia, siostrzanej kopalni Entrevientos.

– Zwolnili cię? – spytał Proch.

– To długa historia. Ale tak, ostatecznie wywalili mnie na zbity pysk.

– Mamy też zaszczyt gościć Bankiera – Minerwa ukloniła się lekko w stronę Pezzana. – Człowieka legendę, rekordzistę w liczbie obrabowanych banków w Argentynie.

– Trzydziestu dwóch – dodał Pezzano, uśmiechając się skromnie.

Minerwa zawahała się. Czekala, aż wspomni o głośnym napadzie na Banco Río. Jednak stary lis zrećźnie zmienił temat.

– Przyprowadziłem dwóch zaufanych znajomych – powiedział, wskazując na Procha i Maca. – Z Prochem znam się ponad piętnaście lat. To ze mną przeprowadził swoją pierwszą poważną akcję. Pamiętasz?

– Jak mógłbym zapomnieć!

– Maca też znam od dawna. Nawet dłużej niż Procha. Nigdy razem nie pracowaliśmy, choć nie dlatego, że nie składałem mu propozycji.

Mac uniósł rękę, jakby prosił o głos.

– Muszę coś wyjaśnić – zaczął zakłopotany. – Ja nie... hm... nie jestem z Waszej branży.

– Co masz na myśli? – zapytał Pata.

– To będzie mój pierwszy skok.

Pata spojrzał na Minerwę z niedowierzaniem.

– Angażujemy nowicjusza w tak poważny projekt? Czy to rozsądne?

– Ten projekt jest tak duży, że bez umiejętności Maca nie ma szans na powodzenie – wtrącił Pezzano.

– Moment – ucięła stanowczo Minerwa. – Jeśli coś pójdzie nie tak, grozi nam więzienie. Albo coś znacznie gorszego. Nikt nie będzie musiał robić niczego, co wykracza poza jego kompetencje. Proszę tylko, byście przez najbliższe dni wysłuchali planu z otwartym umysłem, bez uprzedzeń. Ostateczną decyzję podejmiecie dopiero wtedy, gdy poznacie wszystkie szczegóły. Zgoda?

Mężczyźni zgodnie przytaknęli.

– Skoro już jesteśmy przy prezentacjach, pozwólcie, że przedstawię człowieka, którego zaprosiłem – powiedział Proch, klepiąc Ślusarza po ramieniu. – To prawdziwy spec od zamków i systemów zabezpieczeń. A po godzinach zwykły, uczciwy ślusarz.

– Pewnie sejfy i pancerne drzwi też otwiera, jak mniemam? – zagadnął Pata.

Proch i Ślusarz wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Z odpowiednimi wytrychami otworzy nawet serce Barbie – zażartował Proch.

– Otworzyć, otworzę. Tylko nigdy nie udało mi się zamknąć jej jadaczki.